

Eugeniusz Kurzawa, Andrzej K. Waśkiewicz – miejsca opuszczone, Adam Marszałek, Toruń 2012, 219 s.

Na koniec życia Andrzeja K. Waśkiewicza powstała książka autorstwa – tak rzecz określa strona okładki i karta tytułowa – Eugeniusza Kurzawy pt. *Andrzej K. Waśkiewicz – miejsca opuszczone*. Jednak czytelnik szybko orientuje się, że mamy tak naprawdę do czynienia z dwoma autorami. Że o zdjęciach, których sporo (to dobrze), nie wspomnę. Bo są tu teksty rozmów prowadzonych przez Kurzawę i zarazem narracje o charakterze reportażowym, które towarzyszą wszystkim odwiedzanym miejscom i miejscowościom. W ten sposób, trzeba przyznać, ciekawie zostaje przedstawiona lubuska część biografii Waśkiewicza – od dzieciństwa aż do wyjazdu z Zielonej Góry do Gdańska. Ale są też do książki włączone bardzo autonomiczne teksty samego bohatera tej podróży sentymentalnej, w większości wcześniej publikowane w „Pro Libris”, co można było przypomnieć. Jest ich zresztą znacząco wiele. Zadanie Kurzawy polegało na umieszczeniu ich w odpowiednim porządku w poszczególnych rozdziałach. Nie zamierzam umniejszać wkładu jego pracy, bo jest widoczny, ani umniejszać tym bardziej znaczenia tej książki. Gwoli ścisłości tylko sygnalizuję problem. Książkę zrodziła przyjaźń. Ukazała się już po śmierci autora

Dziedzictwa

. Stanowi opis miejsc już „opuszczonych”. To opuszczenie w tym momencie nabiera charakteru szczególnego, bo ostatecznego. Znaczące są tu wszystkie teksty, warte lektury, bo pokazują rzeczy bezpowrotnie minione, gdy rodziło się życie na Ziemiach Odzyskanych, gdy kształtował się Waśkiewicz. Ten aspekt się od czasu do czasu pojawia. W miarę już dorosłego Waśkiewicza – pisarza, poetę, dziennikarza poznajemy w interesujących ujęciach okresu zielonogórskiego. Rzeczy znane i nieznanne. Historyczne już. Generalnie książka pokazuje biograficzną drogę, obfitującą w bogactwo przenajróżniejszych następstw życiowego losu i sytuacji. To jak zostały owe „miejsca” zapamiętane. Przeczytałem ją z tych względów niemal przysłowiowym jednym tchem. Gdy książka powstawała, zbierany był u źródeł materiał, przeszłość była oglądana i opowiadana, a potem już tylko szły przygotowywania jej do druku, Andrzej jeszcze żył. Wiedział w miarę dokładnie, co będzie zawierać. Kiedy wyszła, Andrzej już od kilku miesięcy nie żył (zmarł 11 lipca 2012). Gdyby ukazała się za jego życia, myślę, przyjmowałbym ją nieco inaczej. Chyba zwyczajnie. Jako jeszcze jedną potrzebną publikację. Teraz już naznaczona jest wyłącznie ostatecznością. Dramatem odejścia. Powstawała poniekąd – tak przypuszczam – pod presją odczuwanego późnego wieku Andrzeja oraz jego choroby. I w momencie realizacji pisarskiego pomysłu chyba oczywiste było, że odwiedzanie przez Waśkiewicza miejsc dawnego zamieszkiwania, przypomnienie ich barwy i swoistości, także pejzażu, oglądanie fasad budynków w Lubsku lub w Kożuchowie, Szprotawie, jak i towarzyszące temu dokumentowanie fonograficzne i fotograficzne przez Mirosławę Szott (i żonę poety, Annę Sobecką) musiało poniekąd mieć charakter pożegnalny. Niewątpliwie, bo przecież to nie była w jakikolwiek sposób podróż krajoznawcza. Jest teraz jej zapis dokumentem życia człowieka, przyjaciela, twórcy, poety, pisarza, ale i obrazem zmienności epoki. Prozą mówioną „w drodze” dla przedsięwziętego reportażu i prozą wcześniej przez niego pisaną. Właśnie dlatego ciekawą, że uczynioną w każdym przypadku po latach. W bezpośrednim jednak kontakcie rzeczy i pamięci o nich. Jest zapisem podmiotowego widzenia przeszłości, prowincji, której obrazy czasami się już zacierają. Trudno je więc ustalić. Bo i realność tych „miejsc” niejednokrotnie się zmieniała. Inne były i inne są wyglądy tych małych

miasteczek, rzeczy, ulic, architektury i natury. Jest też ta książka o ludziach, których wiele nazwisk zostało przywołanych. Niektórzy ciągle mieszkają, jak mieszkali. Jest obrazem pozostałości wojny i powojennych przemian. Nie jest na pewno o karierze lub sukcesie twórczym ani samej poezji Wańkiewicza. Z pewnością kto inny to zrobi i powinien zrobić. Takiego celu nie mógł podjąć ani wykonać Eugeniusz Kurzawa. Moim zdaniem wyrasta z pragnienia zapisania, chęci ocalenia faktów i podmiotowego doświadczenia, o którym literalnie można powiedzieć, że było ciągiem wykonywanych prac, zdobywaniem umiejętności, nauki np. w Technikum Rolniczym, a przede wszystkim zmaganiem się, i zmaganiem się innych, którzy byli obok, ze wszystkimi przeciwieństwami. Nie pretenduje więc ta książka do jakiegokolwiek rodzaju charyzmatycznej hagiografii poety. Nie o to chodziło jej twórcom. Byłoby to wbrew intencji Wańkiewicza. Pamiętajmy, że szczególnego rodzaju dramaty, niedające się unieść, w jego życiu raczej nie miały miejsca. Można rzec, że ta książka jest zapisem i opowieścią, tyleż o zwyczajności, co niezwykłości samego życia, z położeniem wyraźnego akcentu na zwyczajność. A chyba także akcentu na tymczasowość drogi, co wybrzmiewa często spomiędzy wielu zdań. Wybrzmiewa niewątpliwie mocno teraz po śmierci. Jeśli pamiętać, że w Zielonej Górze zwłaszcza, nie wiem jak to wygląda w Gdańsku, pozostała po wyjeździe Wańkiewicza legenda – z pietyzmem był w tekstach literackich przywoływany i długo żarliwie wspomniany – to ta książka teraz nadaje tej legendzie nowy, dopełniony wieloma szczegółami kształt. Bardzo konkretny i uczłowieczony. Tak naprawdę w tym celu powstała. I teraz nawet przypomnienie takich detali jak funkcjonowanie windy w wieżowcu na Dzierżyńskiego czy motocykl w Lubsku, paletko dziecięce, betonowe kręgi koło kolejowego nasypu i inne banalności też w tę legendę się włączają. Jakby – użyję może poetyckiego określenia – swoją obecnością chciały zapewnić, że wszystko to było prawdziwe. Nic zmyślane. Ważna, wartościowa książka, bo wpisuje Wańkiewicza w lubuską ziemię.

Czesław Sobkowiak